Jerzy Ludwiński

Struktury 1961, Nr 3 (10) (31.01.1061)

II

Omawiając w poprzednim odcinku twórczość kolorystów, nie wspomniałem o Filipiaku. Sławny niegdyś mistrz znikł jak kamfora; nigdzie nie wystawiał, nie wiadomo było, co robi. Odnalazł się na Ponigwodzie. Malarz lubelski Wł. Filipiak - czytamy w jednym i numerów „Kuriera Lubelskiego" - stworzył obraz olejny przedstawiający wieżowiec przy ul. Unickiej. Obraz ten o wymiarach 159x70 cm został zamówiony przez kupców lubelskich, którzy jako prezent noworoczny wręczą go ojcom miasta". Fotografia tego wieżowca byłaby - myślę - zbyt skromnym jak na kupców prezentem. Sam wieżowiec natomiast stoi, a ojcowie miasta pewnie się z niego cieszą, chociaż wręczenie go przekraczało możliwości...

*

Ale to jeszcze nie koniec sprawy wieżowca z ulicy Unickiej Może się on podobać. Jest nowoczesny, prosty, pewnie funkcjonalny. Wiemy także, że nie jest on żadną rewelacją architektoniczną. Takich wieżowców, a pewnie i lepszych, buduje się dużo na świecie. Ale to jest właśnie niezła architektura.

Otóż w sprawę wieżowca są wmieszani także i inni malarze (nic licząc architektów). Przyjrzyjmy się jednemu z nich: Piet Mondrian. Artysta ten wyjątkowo uważnie obserwował płaską, pociętą kanałami i groblami naturę swego kraju. Malował ją, ale przy tym myślał. Potem do tego stopnia uogólniał swoją wizję, że na płótnie pozostały tylko szeregi kwadracików, podziały pionowe i poziome, to co w naturze było najistotniejsze. Owe kwadraciki, w których mieścił się obraz prawidłowości świata, uczyniły z Mondriana jednego z głównych prawodawców współczesnej architektury. Jego bezpośrednim uczniem był znakomity architekt Mies van der Rohe. Ale nie o poszczególne koligacje tutaj chodzi. Tacy artyści, jak Mondrian, Doesburg, Arp, Malewicz, Strzemiński, stworzyli współczesny świat przedmiotów od Brasilii i Caracas aż po łyżeczki do sałaty. Są konkretnymi twórcami nowoczesności na równi z architektami i konstruktorami maszyn. Najpierw jednak był Mondrian, po nim dopiero wieżowce w Caracas i Lublinie. Nigdy na odwrót.

A kto kupi ojcom miasta obraz nowego Mondriana, który już teraz widzi wieżowce roku 1970?

*

Na poszukiwanie „lubelskich Mondrianów" wybraliśmy się do CBWA, gdzie odbywa się wystawa okręgowa plastyki. Jest świetna okazja, żeby na gorącym uczynku złapać ów skomplikowany problem integracji sztuki. Plastycy wystawiają bowiem nie tylko (jak zwykle) malarstwo, rzeźbę i grafikę, ale także architekturę wnętrz, meble, ceramikę, tkaniny i różne inne przedmioty użytkowe.

W dwu małych salkach pokazano tradycyjne raczej malarstwo i grafiki; pejzaże, portrety, martwe natury. Żadnych mebli ani architektury tam nie było. Chyba słusznie. Bo co może mieć wspólnego martwa natura z tapczanem. Wprawdzie można ją sobie mieszkaniu powiesić nad tym tak praktycznym skądinąd meblem,

może się nawet przez to zrobi ładniej w pokoju. Ale żadne inne związki miedzy jednym a drugim tworem człowieka na pewno nie zachodzą.

W tych małych salkach jedne rzeczy podobały nam się nieco bardziej (akt Zenona Kononowicza), inne - mniej, jeszcze inne – wcale się nie podobały, niektóre - trzeba by niestety uznać za kicze. Ale to nieważne. Wiadomo, że w każdej konwencji można malować lepiej i gorzej. Zdziwiła mnie natomiast obecność w tym dość tradycyjnym towarzystwie dwóch młodych architektów, którzy nie bez swoistego szwungu malują sobie pejzaże z Kazimierza. Może się mylę, ale wydaje mi się, że z równym pożytkiem dla architektury mogliby sobie zbierać etykietki od zapałek. Znam twórczość architektoniczną Mariana Makarskiego (bardzo dobry projekt teatru wraz z otoczeniem) i mam ochotę zapytać artysty, co mają wspólnego jego widoki fary z prostymi i lekkimi konstrukcjami zaprojektowanych przez niego budynków. Otóż nie przypadkiem brali za pędzel różni znakomici architekci. Le Corbusier w malarstwie być może kształtował swą oszczędną, purystyczną linię i pewnie tam powstawała jego charakterystyczna organizacja przestrzeni. Nie chodzi o to, żeby obrazy były studiami do architektury czy urbanistyki. Po prostu poważniej wygląda, gdy architekt i plastyk w jednej osobie robi rzeczy przesiąknięte jednym dla obydwu dziedzin sposobem myślenia. Wtedy widać, że o coś ważnego mu chodzi. A poza tym każdy ma prawo do hobby.

*

W dużej sali zgromadzono całą resztę lubelskiej produkcji plastycznej: lampy, tapczany, biblioteki, talerze, plakaty, etykietki do butelek. Malarstwo jest tu za to abstrakcyjne. I chyba słusznie. Autor ekspozycji (bardzo dobrej), Włodzimierz Borowski chciał na pewno pokazać źródło współczesnej architektury i sztuki użytkowej tkwiące w różnych odmianach plastyki nieprzedstawiającej. Kuźnią nowych form to ta wystawa nie jest, ale kilka ładnych rzeczy można było tu obejrzeć. Wydaje mi się, że dobrze by było, gdyby zobaczyli ją ludzie reprezentujący nasz przemysł. Może po uzgodnieniu drobnych poprawek technicznych dałoby się niektóre rzeczy produkować? A gdyby tak urządzić spotkanie z przedstawicielami lubelskiego przemysłu i handlu? Mam na myśli także inwestorów przyszłych kawiarni, sklepów i innych obiektów użyteczności publicznej. Niech przyjdą, niech zobaczą, jak trzeba (i jak nie należy) projektować wnętrza. Może wtedy rzadziej się będą zdarzały tak tandetne realizacje, jak reprezentacyjna kawiarnia Lublina, „Czarcia Łapa".

Na szczęście niektóre projekty architektoniczne (te najlepsze) zasiały już zrealizowane, albo są w stadium realizacji. Mam na myśli prace Przemysława Zwolińskiego (sklep „Len polski"), Eugeniusza Kwerki (to jest wnętrze własnego mieszkania, chyba autor będzie miał wyjątkowe trudności z jego realizacją, z Domem Kultury w Bełżycach powinno pójść łatwiej), przede wszystkim zaś Jerzego Durakiewicza (jego sklep preselekcyjny „Feniks" na ulicy Wieniawskiej uważam za najprostsze i najbardziej funkcjonalne, a zatem najlepsze wnętrze, jakie do tej pory wykonano w Lublinie.

Osobna sprawa to dworzec kolejowy Barbary i Lucjana Wengorków, reprezentowany na wystawie kolorowymi fotografiami. Ta monumentalna realizacja może się nie podobać, można jej stawiać zarzuty, że nie pasuje do (ohydnej zresztą) architektury typowego dworca z czasów carskich (a po co by miała do niej pasować?), można psioczyć na złe wykonanie (nie z winy projektantów). Pozostanie ona jednak "słupem milowym" w historii lubelskich wnętrz. Ile odwagi wymagał ten dworzec zarówno od strony obojga plastików, jak i kolejarzy - zleceniodawców. A poza tym jaka Świetna popularyzacja sztuki nowoczesnej

wśród tysięcy pasażerów, z których zdecydowaną większość stanowią robotnicy i chłopi. Słyszałem rozmowy; ludzie którzy podobne obrazy skondensowane do małego prostokąta w ramach na pewno by wyśmiali, tutaj wyrażają swój zachwyt. Może, gdy niebacznie wstąpią na wystawę współczesnego malarstwa, przypomną sobie dworzec kolejowy.

Pocieszające jest to, że wszyscy wymienieni przeze mnie "wnętrzarze" to ludzie młodzi. Będą mieli dość czasu, by - tak z grubsza przynajmniej - zmienić oblicze Lublina. Jak dotąd bowiem wiek XX nie zdążył się jeszcze zmieszać z innymi, tak ładnie tutaj nałożonymi na siebie, epokami.

*

Można by jeszcze wymienić kilka ładnych rzeczy z wystawy: lampę Borowskiego, lampę Kursy, tkaniny Ziemskiego, ceramikę Wengorków, biblioteczkę Pola, biżuterię Szydłowskiej. Kto ma dobry gust, niech kupuje.

Są jeszcze plakaty Pola i Kurzątkowskiego, etykietki Nadulskiego.

Wszystkie te rzeczy posiadają swoją określoną funkcję użytkową. Chociaż bywa i tak, ze talerze wiesza się na ścianach. Tkaniny natomiast wiesza się tam na ogół. Ściana przestała być domeną obrazów. Te ostatnie umieszcza się często na wystawach pozioma na podłodze. Jest to tylko pozorne pomieszanie funkcji i pojęć, które w sztuce istniało zawsze. Wiek XX jednakże przyniósł inną, bardzo istotną zmianę. Jest nią zatarcie granic między poszczególnymi technikami i materiałami, którymi do tej pory operowano sztywno według ściśle określonych zasad. Więcej jeszcze: przestały istnieć granice pomiędzy różnymi rodzajami sztuki. Coraz trudniej jest odróżnić rzeźbę od malarstwa, sztukę czystą od użytkowej.

Ci w małych salkach CBWA pozostali wierni malarstwu lub grafice. Ktoś, kto by stamtąd przeszedł do architektury czy jakiejkolwiek sztuki użytkowej, to prawie tak, jak by obrał sobie dodatkowy, dość odległy od własnych zainteresowań zawód. Może w tej sprzeczności tkwi źródło owych niefortunnych wnętrz, gdzie zamiast organizować przestrzeń zdobi się każdą ścianę osobno. Coś z tego zachowało się w modnym obecnie malowaniu mieszkań: każda ściana w innym kolorze. Ma to być podobno nowoczesne, jest zaś niezrozumieniem nowoczesności.

Malarstwo w dużej sali przybiera bardzo różne formy. Czasem są to po prostu przedmioty o nieokreślonej funkcji. Nie lekceważmy ich nawet gdyby wydały się nam nieco dziwaczne. Mogą one być świetną szkołą myślenia plastycznego, choć nie sugeruję takiego ograniczenia ich roli.

Najciekawsze tego rodzaju obrazy - przedmioty robi tutaj - moim zdaniem - Lucjan Wengorek. Technika tych obiektów przypomina trochę mozaikę. Krystaliczna malaria z dziwnych kolorowych szkiełek trzyma się nierówno połupanych desek jak w wielkich rozmiarów broszce. Farba olejna okazała się tu zbyteczna. Barbara Wengorek pokazała dla odmiany dwa wielkie kawałki papy, których piaskowa faktura pociągnięta została rytmicznymi plamami koloru. Krzysztof Kurzątkowski demonstruje collage z kawałków gazet. Eugeniusz Kworko do faktur przypominających podrapany mur przylepia stare cyferblaty od zegarków i inne przedziwne rzeczy. Coś z tego wszystkiego znalazło się w realizacjach architektonicznych, w ceramice, w plakatach i okładkach książkowych. Czasem był to tylko powierzchowny nalot elementów przypadkowych, zdarza się jednak, że związki obydwu dziedzin sztuki zaczynają się głębiej – przynajmniej

od dobrego zrozumienia tego, co w sztuce chce powiedzieć.

Wartościom czysto malarskim ufał w pełni jeden tylko Andrzej Kołodziejek. Jego obrazy nie są abstrakcyjne, jak mogłoby się na pierwszy rzut oka wydawać. Są to pejzaże i martwe natury. Artysta osiągnął w nich tak wielki stopień wysubtelnienia materii, że dalej już pójść nie można. Jeszcze jeden wariant koloryzmu doprowadzony podobnie jak u Piotrowskiego do granic możliwości malarza. A gdzieś poza linią drzew dzieją się rzeczy, których nie można już po prostu namalować. Nawet gdyby się było nie wiem jak rasowym malarzem. Różnice między formą starą, tą zastaną, a nową, tą którą chcemy stworzyć wymagają dowodów bardziej doskonałych niż te. Może należą one do gatunku sejsmografów, precyzyjnie notujących drżenia czasu, w którym żyjemy. Plastycznym ekwiwalentem tych drgnień byłaby wizja świata, który nastąpi. Wizja tak zaszyfrowana, jak swego czasu u Mondriana, może inaczej.

Nowego Mondriana nie znaleźliśmy. Za to kilku uczniów starego Mondriana. To i tak daje powody do radości.

*

Pod koniec wernisażu zaczęto podobno podejrzewać, że niektóre obrazy zostały powieszone do góry nogami, aby przez to stały się abstrakcyjnymi. Jan Ziemski, który był do końca, opowiadał mi, że niektórzy usiłowali wtedy stanąć na głowie. Mimo tych wysiłków nikogo nie zdemaskowano, żaden z tych obrazów nie okazał się realistyczny.